

Stanisław Sławiecki

Księżniczka

Idylla.

7

Sliczne dziewczę stało bezradnie z rozwianymi włosami, mając jeszcze w całej postaci tendencję ruchu, jakgdyby chciała złapać co dopiero porwany kapelus. Szedł od tej postaci, pełnej młodości i kipiącego życia, żar nieuchwytny, co krew rozpala w żyłach, w kipiący ją zamieniając żar.

Drżałem cały. Nogi trzęsły się podemną, jak pręty trzciniowe.

Ona wydała lekki okrzyk zdumienia. Nie spodziewała się mnie tutaj, z drugiej strony musiała odczuć, że przyjechałem tu dla niej, tylko dla niej.

Spojrzała mi w oczy tak... nie, nie mogę wyrazić słowami tego, co mi jej oczy powiedziały... te cudne, cudne, cudne oczy...

Zaczerwieniłem się. Wstyd mi było, ale nie mogłem się obronić od tego rumieńca szczęścia.

Pierwsza myśl: Lili jest sama! Ta myśl sprawiła mi niewypowiedzianą rozkosz.

Ona bez ceremonii zoliżyła się do mnie i podała mi obie ręce. Ująłem je z dziwnym drżeniem na całym ciele i nie wypuszczałem z mych dłoni. Nie wzbraniała mi. Wytłumaczyłem jej powód mojego przybycia chęcią ujżenia morza, kłamałem nieznacznie, czując, że ona temu nie daje wiary.

Nie mogłem inaczej.

Nagle, patrząc mi w oczy, zapytała, czy tęsknięm za nią. Wzruszenie mnie opanowało. Nie mogłem już wstrzymać nagromadzonej mocy uczuć i wybuchnąłem.

— Tak, szalenie i pani pyta mnie jeszcze... Każda chwila bez pani, męczarnią mi była... Cóż mogło mi zastąpić cud twego oblicza, twoich oczu czar i ust korale... Do kogoż mówić miały usta moje, dla kogoż bić miało me serce? Pani! — mówiłem przez łzy, klęcząc u jej stóp i całując bieluchne dłonie — za moją miłość gorącą, jak żar bieluchny, jak płomień żywą, jak świeżo upadłe śniegi czystą... za te męki... nieprzespanych nocy, palących, nieokielzanych żądź trawiących... niczego nie chcę... niczego...

— Panie! — mówiła pieszczotliwie wzruszonym głosem — panie Adasiu...

— Pozwól mi tylko do śmierci w twe patrzeć czarowne oczy, w ich nieskończoną aksamitną głębię i poić tą rozkoszą me oczy... pozwól podziwiać cud twej twarzy... twej postaci złudny sen niech mi śnić wolno będzie choć raz na tydzień... raz na miesiąc... rzadziej.. Nie szczęścia pragnę, ale w jego cieniu się ukryć pragnąłbym... choćby cień... cienia... Nadzieję nadziei.

Ona złożyła swe dłonie na mą głowę... jak anioł stróż. Podniosłem oczy na jej twarz, płakała.

Czwartek.

Dziś spotkałem ją w tem samym miejscu.

Dziwna rzecz; wyszedłem przypadkowo w tamtą okolicę i ona też znalazła się tam przypadkowo. Tak się wzajemnie zapewnialiśmy.

Po przywitaniu szliśmy, milcząc, obok siebie. Ona była jakaś smutna, zamyślona. Bładość zalała jej lica; oczy miała podsińnię, przez co nabierały jeszcze bardziej tajemniczego wyrazu, niezbadanej głębi.

Starałem się nawiązać rozmowę, ale za każdą próbą dawała mi ręką znak abym milczał. Myślała nad czemś.. Czyniła wrażenie, jakby śniła jeszcze... przerwany braskiem dnia... przedziwaj sen

Szliśmy milcząc.

Zrazu słońce świeciło wesoło, zalewając wszystko swym złotym blaskiem, potem jęło się kryć za chmurki białe, jak łabędzi puch. Z chwili na chwilę chmurek przybywało, łączyły się, ciemniały aż gdzieś, zdało się, na krańcu widnokręgu, jakby z ponurych morskich toni potężna się wyłoniła chmura, burza brzemienna. Gwałtownie zaczęło się ściemniać, a zimny wiatr płynął silną od rozkołysanego morza falą, zasypując nas masą drobnutkich krulek. Zaczęliśmy uciekać w stronę portu.

Łodzie szybko dobiegały do brzegu. Zaczęło grzmieć i deszcz lunął ulewny. Pioruny biły bez przerwy.

Zaledwie burza minęła, opuściliśmy nasze przygodne schronisko. Chciałem, aby wracała do domu. Była zziębnięta, przemoczona.

Nie chciała słuchać.

Słońce znowu się ukazało, tylko stokroć piękniejsze, niż przedtem. Takie jasne, ciepłe, brylantowe. Morze cichło z powrotem. Fale białą pianą się pianą skrzyły się w słońcu.

— Pojedziemy! — rzekła Lili.

— Gdzie? — zapytałem zdumiony.

— W morze.

— Ależ... zimno jeszcze, można się przeziębć.

— Więc jadę sama! — rzekła niecierpliwie.

— Nigdy!

— Więc... ja muszę, muszę — mówiła jakaś podniecona — jechać tam daleko... daleko... do tego słońca. Słońce... słońce... przedziwną muszę wysnąć baśń... taką, bym mogła w niej żyć — szeptała, jakby do siebie.

Byłem prawie przestraszony, ale nie śmiałem protestować.

Płyniemy.

Łódź się kołysze, gwałtownie się pochylając. Lili usiadła na samym kraju. Oka z niej nie spuszczałem... Drżałem na myśl, że może... ale nie... Po chwili uspokoiła się.

Usiadła na ławeczce obok mnie. Drżała ze zimna, więc okryłem ją płaszczem starego marynarza. Nie chciała się zgodzić, widząc, że i ja trzęsę się z zimna, Okryliśmy się oboje.

Siedzieliśmy, tak jedno obok drugiego, tak blisko, blisko siebie, że czułem jak krew krążyła w jej śnieżnym ramieniu, jej krew gorąca...

Tak siedzieliśmy przytuleni, że zdało mi się, że to sen... to sen wymarzony. Zdawało mi się, że ona moją już, na zawsze.

— Kochanie me! — szeptałem — ślicznotka!.. moja... moja.

Tuliłem ją do siebie, w pół mimowoli objawszy, całowałem pachnące złote włosy, czoło wysokie, dumne.

Z pod przymkniętych powiek smutek wycłować chciałem, ustami łyż wypić wszystkie, by nie zaznała, co boleść smutku, co też gorzycz.

Usta jej, jak dwie dojrzałe jagody, te cudne wąskie, rubinowe usta, drżały... pochylała się głowa moja, a usta dotknęły ust... i piły... piły... nienasycone, wiecznie pragnące. A ona była cicha, oddana.

Śmiertelne znużenie mnie opanowało, traciłem pamięć. Głowa rozpalona osunęła się na jej cudne piersi...

— Mojaś ty... mojaś... aniele mój — szeptały usta spalone — kocham... kocham cię... Liluś, Lilucho ma... Za ciebie życie... ty kwiecie życia mojego...

A ona oczy miała przymknięte... usta wciąż drżały... smutek miała w twarzy.

Szepnęła:

— Mów... mów mi... mów... kocham cię...

I szeptałem posłusznie... po tysiąc razy:

— Kocham... kocham... kocham...

CZĘŚĆ III.

I.

Dłużyły się dni Adamowi w Krakowie. Wlókł się czas dziwnie wolno, jakkolwiek powrócił już całkowicie do swych codziennych, zwykłych zajęć. Przygotowywał się do egzaminu, uganiał za korepetycjami. Czynił to wszystko, jak dawniej, a jednak... czegoś w tej pracy brakowało; tego spokoju, równowagi, zapału, którym się pracuje wytrwale, do pewnego upatrzonego dążąc celu.

Otóż tego celu zaczynało Adamowi brakować, a przynajmniej przestał być jasnym i oczywistym jak dawniej, uległ zatarciu w całej mgłę planów i projektów. Stracił go z oczu. Odtąd zaczynały mu dotychczasowe zajęcia ciążyć, stały się dlań wstrętne i nudne. Zaczął marzyć o szczęśliwszym życiu, więcej w niem chciał szukać pożywi. Coraz częściej nawiadzała go myśl, aby rzucić całe dotychczasowe życie i zostać artystą dramatycznym, wstąpić do teatru, zasłynąć.

Niejednokrotnie dziwił się sam sobie, obserwując zmiany, jakie w nim zaszły w ciągu tych dni niewielu. Dziwił się nawet swoim poprzednim zapamiętaniom, zaczął uważać je za dziecinne, naiwne.

Wieczorne tylko chwile marzeń nie uległy zmianie. Zawsze te same, ciche, melancholijnie-smutne. Tylko miejsce nieuchwytnego ideału rojeń i snów, zajęła Lili.

Ta biała, śliczna, drobnutka Lili.

To wypieszczone książęce dziecko... Bieluchna Liluśka, w mgłę spowita nieuchwytną, w długich marzeniach wyidealizowana, wszelkich ludzkich cech pozbawiona, bez plamki i cienia, nadziemski istota...

Lili...

Anioł...

Stała się dla niego czemś drogiem i świętem, czemś, czego nie wolno nawet w myśli splamić, do czego można się modlić i zanosić prośby o wszystko, co piękne i jasne, świetlane i czyste.

Lili...

Kobieta-złuda, sen cudny — szczęściem tchnąca. Do niej się modlił w te długie godziny, szarą jesienią. Do niej myśl biegła stęskniona, śladem unoszącego się błękitnego dymu z palonego papierosa. Ileż godzin przesiedział tak w krześle. Ileż pieściwych wyszeptał słów... cichych słów skargi.

A ona?

Bawiła w Wiedniu. W powrocie z Kołobrzegu, zaledwie jeden dzień zatrzymawszy się w Krakowie, pojechała z ojcem do Wiednia. Nic nie pisała.

To go bolało.

Czyżby to był już koniec tej cudnej pieśni?

Ta myśl go męczyła i pozbawiała snu. Przybladł, stracił zupełnie humor do tego stopnia, że stało się to aż nazbyt widocznym.

— Bój się Boga, co się z tobą dzieje — pytał go, seryo zmartwiony przyjaciel, Jaś Gotwicki. — Jesteś chory?

— Nie.

— Mów! Może masz jakie zmartwienie?

— Nie.

— No, więc... nie, wiesz, nie pojmuję, co ci się stać mogło. Zapominasz o świecie bożym, twoi chłopcy nawet zauważyli, że ich zaniedbujesz. Mówili mi, żeś pewnie chory, że źle wyglądasz.

— To wszystko fraszka! Przejdzie... nie warto mówić nawet.

— Może ty jesteś zakochany nieszczęśliwie?

— Ech, cóż znowu — zachnął się Adam, czując, że się czerwieni. — Znasz mię przecież, dziwię się przeto, że mi o coś podobnego posądzasz.

— Daruj!... Naturalnie, przecież nie raz podziwiałem cię. Ale... wiesz, przyszło mi na myśl...

— No?

— Ee... głupstwo.

— No, powiedz, powiedz! Pewnie coś strasz nego! — próbował się uśmiechnąć.

— Mówmy o czem innym. Czy masz dość korypetycy?

— Aż za dużo.. ale powiedz-że co chciałeś... no...

— Wiesz, przyszło mi na myśl, żeś może zakochał się w księżniczce.

Adam zaczerwienił się.

— Nie zdziwiłbym się nawet. Sliczna osóbką. Te usta...

Te usta — odezwało się w mózgu Adama — te czarowne usta!

Adam czuł, że robi mu się słabo.

Jaś mówił dalej jakimś zmienionym głosem.

— Te usta rozkoszne... ale to niebezpieczna gra.

— O ile?

— Czasem takie amory kończą się kulą w...

— Ooo... Aż tak?

— A tak... ileż razy!

— Na przykład, któż ten naiwny szaleniec? — zapytał z fałszywą ironią Adam.

— Tylko, proszę cię, słowo.

— Ależ, naturalnie.

— Twój poprzednik.

Adam zbłądł.

— Jakto?!

— Ano najzwyczajnie w świecie. Nabił rewolwer i pewnego cudnego ranka strzelił sobie w łeb.

— Pleciesz, mój kochany! Przecież stwierdzono nagłą śmierć na serce.

— No tak, to prawda! Stwierdzono, ale... fakt faktem, wiem to z pewnego źródła, inaczej nie mówiłbym plotek. W każdym razie dałeś słowo.

— Ależ...

— O tem nikt prawie nie wie, prawie nikt... kilka osób zaledwie.

— Ale, jakże się to stało?

— Bardzo prosto. Zakochał się, jak szaleniec... no i w przystępie miłosnego szału oświadczył jej swą miłość... dotychczas pięknie.

— A ona? — zapytał Adam porywczo.

— Ona? — mówił już spokojnie Gotwicki — ona... nie wiem, co mu odpowiedziała, wiem tylko tyle, ale to już nic pewnego, że chwycił ją w ramiona i chciał całować... i oberwał książeczką odprawę... tęgi policzek. To działo się wieczorem w parku... a rano znaleziono go na tem samym miejscu z rozprysniętym mózgiem.

— To dziwne! — rzekł Adam bezmyślnie, chcąc pokryć zdenerwowanie.

— I ciebie byłbym tam nie wystął, ale wiem przecież, że na ciebie to nie działa.

— Dobranoc! — rzekł raptownie Adam, ochryplym głosem.

— Dokąd tak nagle?

— Idę!

— Ale dokąd?

— Do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).